MANKIETNIK

prawdziwe, a ucieszne przygody

Błażeja Kijaszka,

co chciał mankietnikiem zostać

OPOWIEDZIAŁ

MACIEJ KROPIDŁO

35665
Z BIBLIOTEKI SEMINARIUM SANDOMIERSKIEGO

Cena 10 groszy.

WARSZAWA

1907.

00055860

Zawsze też bywa, kiedy człek nadto sobie ufa, kiedy mu się zdaje, że jego rozum na wszystko mu wystarczy, że niespodzianie na równej drodze i w dzień jasny jakowegoś kamienia niedopatrzy i z wozem do rowu się zwali.

Dobrze mu wówczas jeszcze, jeśli się tylko trochę potłucze i podrapie, albo jaki siaki podkółek u wozu złamie—ale bywa częstokroć i jeszcze gorzej że nogę złamać może albo i głowę szpetnie rozbić, w tym upadku i dla głupiego kamienia, co go nie dopatrzyć na drodze—zejść z tego świeta marnie--w tym czasie, w którym się tego wcale niespodziewał. I tak sprawdza się przysłowie, że można morze przepłynąć aż na ostatek u brzegu utonąć.

To samo stało się i z moim krewniakiem, co niby moim szwagrem jest a prawie od maleńkiego miał ci on spryt niezwyczajny, i zdawało się, że zawżdy sobie najlepiej radzić potrafi, na nieczyją radę się nieoglądający.

Przychodzi ci on razu pewnego do mnie i powiada:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ano odpowiadam mu tedy:

— Na wieki wieków!—siadajcie szwagrze i powiadajcie co tam u was słychać.

Opowiada ci on mi tedy o tem to o owem, jak mu się niedawno pstra jałówka ocieliła, jak mu pies zdechł, a setny był szelma zwierz, i na wszelkiego obcego zęby szczerzący przy lada okazyi, nikiej wilk— zawdy wiernie dobra gospodarskiego pilnujący bez odpocznienia.

Tak ci mi ów szwagier opowiada z godzinę o różnościach, aż wreszcie—raptem pyta:

— A słyszeliśta, Macieju, o Marjawitach?

Tak ja mu zaraz odpowiadam, że o tych rabuśnikach, co niby jak mówią i piszą w gazetach (bom jest człek piśmienny i drukowane rozumiem) kościoły i obrazy święte kradną, siła różnego wiem. A tylko dziękuje panu Bogu, że ich w naszej wsi niema dotąd i pewno nie będzie.

A szwagier mój na to:

— Aha, nie było, a teraz będą. Oto nieprzymierzający, ja ci pierwszy mankietnikiem zostaję i tyla —albo mi to niewolno?

Takem się zadziwił tem niespodzianem oświadczeniem, że nikaj słowa przez czas długi wydostać z siebie nie mogłem na odpowiedź, a on plótł mi przez ten czas dalej:

— Już ja wiem że wy ta sami, Macieju, choć niby jesteście moim krewniakiem, pierwsi będziecie psy albo i koty, jak to mówią, na mnie wieszać, za to żem się za tą nawaliję złapał; ale wy choć piśmienni jesteście i gazety z figurami (to niby z malowankami) czytacie, ale to waszej głowie się z moją nie mierzyć, a ja sam, jakem pięknie obejrzał na wszystkie strony jednego mankietnika, co niby onegdaj na jarmarku się znalazł, tak mi ci odrazu przy-

szła chęć zostać samemu takim samym, bez żadnego wyperswadowania. Bo też dosyć spojrzeć było na tego chłopa, żeby obaczyć że to nie byle kto—odziany ci dostatnio, jaką miał on kamizelę to ho, ho, nawet nasz dziedzic podobnej niema, a kaśkiet to niby, na ten przykład warsiawski na głowie i buty z cholewami, aż strach—a taka ci mina tęga—że nieprzystępuj do niego bez kija, albo li i rewolweru. Akuratci stoję i patrzę na tego wej mankietnika, jak papirusa zapala—a tu idzie nasz proposzcz—znacie go szwagrze dobrze, ten z Zapola, Konoski— wszyscy też, niby parafjanie, kłaniają mu się nisko i ja też, na ten przykład zdjąłem czapkę, jako że on duchowna osoba; a ten mankietnik ani drgnie, kaśkiet ma na głowie wysoki, papirusa w gębie setnego, ręce zasadził nikiej wielki ekonom w kieszenie i patrzy księdzu prosto w oczy.

Taka ci to była fantazya tego mankietnika—że mnie odrazu na serce chwyciła, bo niby dość już tego kłaniania się, czapkowania. Ksiądz, ksiądz—a to ci taki sam człowiek jak ja, Antoni, i ten Józwa ślepy, co na skrzypcach po gospodach grywa.

Tu już przerwałem głupstwa mego krewniaka, bo by mi był do skończenia świata bajał i bajał o owym mankietniku i swoje głupie filozofowania wysnuwał, więc mu krzyknę:

— Co ty za głupstwa będziesz mi tu plótł, nie wiesz ty, że w katolickim domu stoisz, nie boisz ty się, że ci powała na łeb grzeszny upadnie, urwipołciu.—To niby ty i ten złodziej z naszej wsi, Jóźwa, i Antoni pijak, równi jesteście księdzu, który Panu Bogu poświęcił swój żywot—co ty pleciesz. Toż gdyby

nawet ksiądz świętym nie był i rozmaite przywary miał, nic to dziwnego bo człek każdy ułomny jest, i niekiedy nawet niechcący grzeszy—a uszanowanie mu się od nas, zwykłych ludzi należy, bo w każdym razie więcej o Panu Bogu myśli niż my i więcej się do niego modli od nas a przeto musi być i bliższy Panu Bogu od głupich pijaków, i złodziei, a nawet pewno i od ciebie, co się z tymi łączysz.

Tak on szwagier mi na to:

— Macieju—jużeście mnie tak spostponowali, że powinienem się rozgniewać, czapkę nacisnąć na uszy, plunąć ci na środek izby, jako że mnie twoje wyklinania nic nie grzeją i iść do swojej zagrody, ale że to niby jest przysłowie, iż mądry głupim ustępuje, więc tego nie zrobię i dalej mówić będę, a ty mi nie przerywaj, jeśli chcesz się czego ciekawego dowiedzieć.

Nic już ja na to się nie odezwałem, i słucham, bo ciekaw byłem końca; a on mówił:

— Otóż jak tylko proboszcz nas minął, ów mankietnik do nas się zwrócił i powiada:

— Albo to ksiądz, ten czarny, co przeszedł — wy mi powiecie, że ksiądz, a ja wam mówię, że daleko mu do tego, ot nasi marjawiccy księża, to księża—za chrzest, ślub, albo ci inne posługowania prawie nic nie biorą, a zawsze gotowi są do wszelkiej duchowej pomocy, niech tylko kto ich zawoła, a tu spróbójcie go poprosić, aby zmarłego pokropił—zaraz ci wam powie, że tyle i tyle zapłacić trza, a ślub przyjdzie brać—płać, i za wszystko płać.

To znowu przerwałem memu szwagrowi.

— A co ty myślisz, z czego ksiądz żyć będzie, kto mu da, pensyja mała a potrzeby jak każdego śmier-

telnika—nic ta dziwnego, że chce aby parafianie płacili. Naturalnie wedle zamożności. A jeśli który ksiądz drze z parafian — to robi to jako człowiek ułomny, a nie jako ksiądz, tak i o cóż obwiniać wszystkich jeżeli jeden albo dwóch źli są. A ci marjawiccy księża skąd biorą pieniędze na utrzymanie, jeśli im parafia nie da?

— To prawda, Macieju, ale—mówi mój krewniak—zawżdy mi się to udało, ze ów marjawita taki wygadany i tak za narodem trzyma; otóż tedy ja pytam ci się owego człowieka jak niby można zostać Marjawitą—a on mi powiada, że trzeba uwierzyć iż jedna kobieta, co się zwie Kozłowska, święta jest i Antychrysta urodzić ma; że owa kobieta żoną jest Pana Jezusa.

— Tu już mi cierpliwości zbrakło — porwałem za kołnierz mego szwagra, co takie głupstwa mi rozpowiadał o owej Kozłowskiej i wyrzuciłem z izby, wołając:

— Idź ty sobie całować w nogi czy gdzie indziej tę kobietę, co tam ma jakiegoś Antychrysta urodzić—głaszcz ją tam gdzie chcesz i chwal jak ci się podoba—ale w moim domu mówić o takich zbereżeństwach i bluźnić nie pozwolę jakem Maciej Kropidło—wykropię ci a nie to i wygarbuję skórę jak się patrzy.

Tedy mój krewniak, widząc że już na dworze rozmawiać ze mną, po takim despekcie, jaki go z mojej ręki spotkał, nie wypada, a i dla tego, że upadając pośladek sobie widocznie przytłukł setnie—mrucząc coś, odszedł w stronę swojej zagrody.

A kiedy odszedł już kawałek, obrócił się i wi-

dząc, że stoję i poglądam za nim, rzekł mi jeszcze, wykrzywiwszy się okrótnie:

— A ja taki mankietnikiem będę, będę i Mateczkę Kozłowską obaczyć pojadę i pojadę.

. . . . . .

Na drugi dzień pojechał ci mój krewniak do Leszna szłyszał bowiem, że w onem Lesznie mankietników jest siła — jak mrówek w mrowisku, albo much na krowim ogonie nieprzymierzając.

Droga była daleka, ale rankor mego krewniaka Błażeja (bo Błażej mu było na imię) jeszcze większy, po owej przeprawie ze mną, przeto se postanowił, że choćby owo Leszno na końcu świata leżało, a dostawać się do niego trza było po nitce — to gotów był rok w drodze bawić, aż nareszcie ową nitkę namacawszy woskiem ją galanto wysmarować i jak po maśle wślizgnąć się po niej do owego pożądanego Leszna — gdzie go mieli nareszcie mankietnicy przyznać za swego.

Nakładła mu też kobieta do kobiałki przeróżnych specyałów i chleba i sperki i sera, nie zapomniała też i o jajach gotowanych dla małego Antychrysta, jeśli by na szczęście takowy przyszedł na ten świat podczas bytności jej męża w świętem mieście (bo Błażej był pewien że Mateczka Kozłowska w onem Lesznie bawi na pewniaka).

Jak tylko chłop dojechał do sąsiedniej wsi, spotyka pod wsią na gościńcu znajomego, co se zdzierał podeszwy na piechotę idąc, z butami przewieszonemi jak się patrzy na kiju przez ramię. A że się chłopu (niby Błażejowi) gadać chciało, bo niby korciło go

to, że się wczoraj ze mną wygadać do woli nie mógł, jako żem za prędko zaczął go przekonywać po swojemu, dawszy mu obcasem w pośladek i wyrzuciwszy za chałupę, przeto rad był spotkaniu i już zdaleka krzyknął na znajomego.

— Pochwalony! — A dokąd to? Jeśli daleko siadajcie kumie, podwiozę.

— Na wieki — odparł spotkany — dzięki za dobre słowo i zaprosiny — ja ta do wsi tylko za interesem i, jako, że do wsi było jeszcze spora wiorsta napotkany kum przysiadł się na furę do Błażeja, trochę i dla tego, że dziwne mu było gdzie też ten jedzie tak rano w dzień roboczy.

Siedząc już na furze rozpowiadał kum Błażejowi o swoich interesach, dla których to rodzone podeszwy zdzierać musi, bo we wsi właśnie, do której szedł, miał swoich dziedziców, a że mu już rok temu obiecali dać wieprzaka na gospodarstwo młode, a to niby gwoli tego, że mu żona pierworodnego synaczka urodziła — więc nie mogąc się doczekać owego teścinego podarunku sam szedł niby w odwiedziny, a głównie po to aby o obietnicy przypomnieć.

— Na taką spowiedź swego kuma, Błażejowi także się język rozplątał, jął więc kumowi opowiadać o tem co go w taki świat daleki pchało; opowiedział mu tedy wszystko dokumentnie, a kiedy mówił o maleńkim Antychryście, którego niby jedzie obaczyć, tak się Błażej rozczulił, jakby o swoim synoczku najmilszym opowiadał; nawet kumowi jaja gotowane na twardo pokazywał co mu baba do kobiałki wpakowała gwoli zabawie i napełnieniu żołądka Antychrystowego.

Kum, który mało co dotąd, albo i nic, o man-

kietnikach nie wiedział tak się temu dziwił, że aż gębę od ucha do ucha otworzył, a gały utkwił w Błażeja nikiej pies w słoninę i ani mruknie tylko słucha a słucha.

A i Błażej ogromnie urosł w jego oczach, że to niby taki chłop jest co będzie aż Antychrysta sam na sam, oko w oko oglądał, a może nawet po antychrystosku z nim rozmawiał — więc nie byle co jest, ale człek widać znający się na różnych rzeczach; więc kiedy stanęli we wsi przed teściową chałupą, chłop ani chce słuchać, tylko prosi aby Błażej jemu i teściom ten honor zrobił i łyżkę strawy jako też kieliszek pejsakówki (niby to ona z monopolu — ale śliczności gorzałka!) razem podzielił.

Błażejowi też się miło zrobiło, że to niby znalazł człowieka, co się na jego głowie i zdolnościach ci do wiela rzeczy poznał, a przy tem, że to kum odmawiać nijako, więc rzekł:

— A no, to, kiedy już tego chcecie, na momencik wpadnę—jeno nie długi—bo drogi sztuk przedemną leży jeszcze, a ja sobie honornie poprzysięgłem, że taki Antychrystka pierwszy ze wszystkich zobaczę—a mógłbym się łatwo spóźnić, bo pono Mateczka już drugi rok onego Antychrystka obiecuje.

Zszedł tedy Błażej z woza, i do chałupy się kwapi; weszli do wnętrza, ale się okazało, że teściowie gdzieści na roli na robocie, a tylko mały smyk niby syn najmłodszy z gospodarstwa siedzi pod piecem i ziemniaki starą łyżczyną blaszaną skrobie na obiad.

— A gdzie to tatulo i matula—Jantosiu—zapy-

tał kum Błażeja chłopaka, co oczy na nich wywalił i nawet skrobania zaprzestał.

— A na roli—poczekajcie momencik ojcowie, ja do nich wej skoczę i zawołam.

I wypadł z chałupy jak strzała.

Chłopak tedy wypadł i zginął. A kumowie siedząc na ławie gawędzą i czekają, aż nie mogąc się już doczekać gospodarzy—wyjął kum butelkę z kieszeni i do Błażeja przepija.

Błażej, jako że nigdy nie był od tego, i za kołnierz wylewać nie lubił, wysączył jeden, potem drugi i trzeci kieliszek i po godzinie czekania obaj kumowie byli już w dobrym humorze.

To też gdy nareszcie gospodarze się zjawili z pola w chałupie—zastali gości jak się w najlepsze ściskali i całowali, a pół flaszki wódki stojące opodal na stole.

Kum też Błażeja zaraz gospodarstwu zaprezentował.

— To jest mój niby przyjaciel, Błażej Kijaszek, co będzie pierwszym który Antychrysta przywita.

— Jakiego Antychrysta — czyżeście powarjowali—pyta się gospodarz—gdy już gości przywitać zdążył—chciał jeszcze dalej pytać, ale mu jego baba przerwała, jako że kobieta zawsze ciekawsza od męża wszelakich nowinek, rada więc była dowiedzieć się jak najprędzej, co i gdzie ów Antychryst porabia.

Tedy Błażej już po raz trzeci zaczyna się rozwodzić, o końcu świata, Antychryście i swoim rankorze, aby pierwszy obejrzeć takowego; wysłuchali tego wszystkiego gospodarstwo i nic nie rzekli tylko pokiwali głowami.

Aż tu naraz kum Błażeja, jako że już był trochę podpił i co miał na sercu i pomyśleniu, rad był w szczerości wypowiedzieć—przypomina teściom o ich obietnicy:

— A obiecaliśta mi, wieprzka dać, za to niby że moja żona urodziła, ano synaczka pierwszego. Nie odmawiajcie, proszę was, teraz to rychtyczek bo nam się wieprzek przyda, jako że karmu mamy sporo i miałby co żreć.

Teściowie zasię, choć to dla zięcia i córki rodzonej ale nie kwapili się z podarunkiem, bo to zawsze i przykro jest gadziny się z domu pozbywać, radzili zięciowi tedy aby poczekał aż się maciora oprosi, to mu parę prosiąt młodych podarują.

Zięć nalegał, bo mu nijak było do dom bez niczego wracać, a że był podpił nieco więc od słowa do słowa poswarzyli się ze sobą, a Błażej, chcąc ich pogodzić, odezwał się:

— A już niech gospodarze dadzą, co obiecali niby i tak zakończenie świata niedaleko, bo i Antychryst się rodzi to...

Nie dali mu gospodarstwo dokończyć, jeno, jako że teścina była żywa niewiasta, krzyknęła zaraz:

— A dajta nam spokój z Antychrystem, mankietniku—widzita go namówili się z kumami żeby teściom chudobę odbierać, idź kiejś mądry skądeś przyszedł, a w nie swoje rzeczy nosa nie wścibiaj.

Błażej wziął czapkę na głowę nacisnął i jakieś przykre słowo gospodarstwu rzucił aż tu teść ułapi go za kołnierz, jako wczoraj ja—i młynkiem go za drzwi wyprowadzi (a silny był dziad ani słowa). Na dworze zasię zwierz podły, pies teściów, obmierzłe

stworzenie, za łydkę Błażeja ułapi i ciągnie bestja, ledwie go obronili, a też chłopaki wiejskie gapiąc się na widowisko, uszłyszeli, jak teść nazwał Błażeja Antychrystem i, wej go, uczepili się tego przezwiska.

Błażej usiadł na wóz i konie zaciął, a gromada dzieciaków pędzi za nim i woła na całe gardło:

— Antychryst, Antychryst.

A psy wiejskie w wrzask okropny uderzyły i puściły się wiorstę za wieś Błażeja prowadzić, aż zmęczone przestały.

. . . . . .

Przyjechał nareszcie Błażej do owego Leszna, a tu mu powiadają że wielka wojna się szykuje między Mankietnikami a katolikami żeby przeto brał jaki podkółek albo i lusznię i stawał w obronie kościoła bo go mankietnikom chcą odebrać.

To już trochę mniej się podobało Błażejowi, bo choć był chłop setny, a i krzepy w rękach miał dosyć, ale go jeszcze łydka po psich zębach bolała i zresztą zwykł był więcej wierzyć swojej głowie, co na wszystko wyrozumienie miała, niż rękom, jako że się często guzy sprowadzać potrafią.

Nie było jednak rady—wzięli djabli krowę, niech wezmą i ciele—mówił sobie.

Wzięł tedy dębczak, co smaglejszy i poszedł w gromadzie.

Ledwie miał czas odpocząc krzynę, bo szedł z wiorstę drogi a wóz z koniem zostawił na końcu wsi pod opieką kobiet.

Aż tu widzi, idzie kupa wielka ludzi i każdy także uzbrojony: kto w kij, kto w pręt żelazny, a inni

i dubeltówki mieli, choć ta i mankietnikom ich nie brakło.

— Paf. Paf. Paf.

Zakotłowało to się, Boże ty mój, i zaraz Błażej poczuł jakieś tęgie ręce na swoim nieszczęśliwym karku.

Przywalił ci go jakiś drągal do ziemi i krzyczy:

— Mam cię, psia jucho, Antychryście, taki owaki.

I dusi go coraz bardziej.

Aż Błażej chrapać zaczął i piszczy:

— Puść mnie, już nie będę, ja nie mankietnik, a gospodarz z Gopola.

— A, tak,—rzecze na to drągal—trza ci było odrazu tak powiedzieć—i zlazł z Błażeja, jako że sam był zmęczony okrutnie.

Ale Błażej, gdy tylko z pod niego wyzwolił się, nie darował swego, zaraz go swoim dębczakiem przez łeb, (bo złość za poniewierkę w Błażeju ożyła, a i rankor jego dawny się obudził). Tamten tedy drylbas teraz upadł a Błażej na nim siedzi i wydziwia a wali go za swoje.

Nadbiegli inni, towarzysze owego drągali i znów Błażeja potarmosili...

Kiedy się bitwa skończyła, Błażej setnie był potłuczony, ale rankoru nie stracił, a i miną nadrabiał.

Rozpytał się tedy spokojnie, gdzie jest Mateczka, bo koniecznie mu się chciało zobaczyć Antychrysta dla którego był wiózł owe jaja gotowane.—Powiedzieli mu że w Płocku.

Dopytał się tedy o drogę do owego Płocka siadł na swoją furmankę i jedzie.

Przez drogę, przypominając sobie wszystkie

przygody w dumę rósł, że już taki szmat świata przejechał (trzy dni prawie był już w drodze) i tylko kilkoma guzami się odbył od wszystkiego.

Jedzie szosą aż tu widzi że na drodze but leży, chciał już złazić z woza aby ów but leżący podnieść, jako że na skórę wszelką był od przyrodzenia łakomy, ale e mu się bardzo spieszyło bo przypomniał że tam gospodarstwo już trzy dni czeka, i roboty dużo zaległej w domu, więc zaciął konie i pędzi dalej.

Ujechał z pół wiorsty aż tu na drodze drugi but spotyka.

— A to galancie, będzię para — myśli Błażej.

Nie namyśla się już teraz złazi z wozu, podniósł but i puścił się pędem po drugi, który był minął na drodze, bo mu żal było wozem zawrócić taki kawałek.

Wóz tedy został na szosie bez opieki; kiedy Błażej odbiegł już kawał od wozu słyszy że ktoś rusza za nim wozem z kopyta; ogląda się a oto jacyś dwaj ludzie siedzą na jego wozie i gnają co sił.

Poczuł odrazu że to złodzieje.

Ale cóż począć? Pieszo nie nadąży koniom a przytem konie miał u wozu dobre, zeszłego roku kupił na jarmarku i dobrze zapłacił.

Tu już Błażejowi ze złości i żałości na płacz się zebrało. Usiadł przy drodze i czeka aby nadjechał kto, zmęczył się setnie biegnąc kawał drogi po ów but przeklęty i potem z powrotem, za wozem, którzy byli złodzieje zabrali; — buta przytem drugiego nie znalazł.

Dopiero teraz zrozumiał, że z butami owemi była sztuczka złodziejska.

Prusecki
Gałgaewski
Kania
Kukiaks
Witaszczyk
Ostrowski
Wiśgica
Kwarzyński

BIBLIOTEKA
Wyższego Seminarium Duchownego
w SANDOMIERZU
35665

DRUKIEM
E. CHRZANOWSKIEGO
i H. OMELIŃSKIEGO
WARSZAWA
ZIELNA 8.
TELEFON 75.93.